Hannah Arendt

Eichmann w Jerozolimie



Hannah Arendt

Eichmann w Jerozolimie

Rzecz o banalności zła

tłumaczył Adam Szostkiewicz

Wydawnictwo Znak
Kraków 2010

ROZDZIAŁ I

Dom Sprawiedliwości

„Beth Hammishpath" – Dom Sprawiedliwości: na dźwięk tych słów wykrzykniętych całą mocą głosu przez woźnego trybunału podrywamy się na nogi, gdyż zwiastują one przybycie trzech sędziów, którzy – z obnażonymi głowami, ubrani w czarne togi – wchodzą na salę sądową bocznym wejściem, by zająć miejsca na najwyższej ustawionej ławie wysokiego podestu. Po obu stronach stołu, za którym zasiedli, a który niebawem pokryją niezliczone tomy akt oraz ponad półtora tysiąca dokumentów, siedzą sądowi stenografowie. Poniżej sędziów zajmują miejsca tłumacze, których usługi są niezbędne w bezpośredniej wymianie zdań pomiędzy oskarżonym lub jego obrońcą a sądem; w pozostałych wypadkach mówiący po niemiecku podsądny i jego adwokaci śledzić będą tok prowadzonego w języku hebrajskim procesu poprzez równoległą transmisję radiową, wyśmienitą w przekładzie na francuski, znośną w języku angielskim, będącą zaś istną farsą w wersji niemieckiej, często całkowicie niezrozumiałej. (Biorąc pod uwagę skrupulatną rzetelność wszystkich technicznych przygotowań do procesu, pozostanie skromną tajemnicą nowo powstałego państwa izraelskiego, w którym wysoki odsetek obywateli wywodzi się z Niemiec, dlaczego nie zdołało ono znaleźć odpowiedniego tłumacza na jedyny język, jakim mogli się posługiwać oskarżony i jego obrońca. Dawne uprzedzenie wobec Żydów niemieckich – niegdyś bardzo wyraźne w Izraelu – jest już zbyt słabe, by mogło tłumaczyć ten fakt. Jako wyjaśnienie pozostaje jeszcze starsza i wciąż niezwykle potężna „witamina P", jak

nazywają Izraelczycy protekcję w sferach rządowych i aparacie biurokratycznym). Poniżej ławy tłumaczy ustawiono naprzeciwko siebie, w taki sposób, że znajdujące się tam osoby zwrócone są profilem do publiczności, oszkloną kabinę oskarżonego i barierkę dla świadków. Dolną ławę zajmują siedzący plecami do sali prokurator i czterej oskarżyciele posiłkowi, a także obrońca oskarżonego, któremu w ciągu pierwszych tygodni procesu towarzyszył asystent.

Ani przez sekundę nie ma w zachowaniu sędziów niczego teatralnego. Poruszają się w sposób niewystudiowany, trzeźwa i napięta uwaga, tężejąca pod wpływem smutku w miarę jak przysłuchują się opowieściom o cierpieniach, jest naturalna; zniecierpliwienie wywołane zabiegami oskarżyciela, usiłującego przeciągnąć przesłuchania świadków w nieskończoność, jest spontaniczne i żywe, stosunek do obrony może odrobinę przesadnie uprzejmy, tak jakby wciąż pamiętali, że „dr Servatius był niemal całkowicie osamotnionym w tej zaciętej walce prowadzonej w obcym otoczeniu", traktowanie oskarżonego – zawsze bez zarzutu. Jest rzeczą tak bardzo oczywistą, że są to trzej przyzwoici i uczciwi ludzie, iż wcale nie dziwi, że ani jeden z nich nie uległ owej największej pokusie, by w tej scenerii bawić się w teatr udając, że – wszyscy trzej urodzeni i wykształceni w Niemczech – muszą czekać na tłumaczenie hebrajskie. Przewodniczący składu sędziowskiego Moshe Landau prawie nigdy nie odkłada odpowiedzi do momentu, kiedy tłumacz skończy swoją pracę, często wpada mu w słowo, poprawia i ulepsza przekład, najwyraźniej szczęśliwy, że choć na chwilę może się oderwać od ponurych obowiązków sędziego. Wiele tygodni później, kiedy oskarżony został wzięty w krzyżowy ogień pytań, posunie się nawet do tego, by nakłonić kolegów do prowadzenia dialogu z Eichmannem w ich języku ojczystym: po niemiecku, dając dowód – jeśli ktoś potrzebowałby jeszcze dowodu – że zachował sporą nieza-

leżność od aktualnego nastawienia izraelskiej opinii publicznej.

Od samego początku nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to sędzia Landau nadaje ton i dokłada wszelkich, doprawdy wszelkich starań, by nie dopuścić do przekształcenia się rozprawy – pod wpływem uwielbiającego popisy oskarżyciela – w proces pokazowy. Jeśli nie zawsze mu się to udaje, to między innymi po prostu dlatego, że przewód sądowy toczy się na scenie przed publicznością, a zdumiewający okrzyk woźnego rozpoczynający każde posiedzenie wywołuje ten sam skutek co podniesienie kurtyny. Kimkolwiek był autor projektu tej sali zebrań, mieszczącej się w nowo wybudowanym Beth Ha'am – Domu Ludowym (otoczonym na czas procesu wysokim ogrodzeniem, strzeżonym od dachu po piwnice przez uzbrojoną policję, na dziedzińcu frontowym ustawiono rząd drewnianych baraków, w których wszystkich przybywających poddaje się drobiazgowej rewizji), chodziło mu o teatr z prawdziwego zdarzenia: z parterem i galerią, proscenium i sceną, a także z bocznymi wejściami dla aktorów. Zaiste, ta sala sądowa może być niezłym miejscem do odbycia procesu pokazowego, o jaki chodziło Dawidowi Ben Gurionowi, premierowi izraelskiemu, kiedy postanowił doprowadzić do pojmania Eichmanna w Argentynie i postawienia go przed Sądem Okręgowym w Jerozolimie, by odpowiedział za rolę, jaką odegrał w „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej". Bo też Ben Gurion, słusznie nazwany „architektem państwa Izrael", pozostaje niewidocznym reżyserem procesu. Nie przybył na ani jedno posiedzenie; w sali sądowej przemawia głosem Gideona Hausnera, prokuratora generalnego, przedstawiciela władz rządowych, który czyni zaiste wszystko, by zadowolić swego zwierzchnika. I jeśli owe usilne starania okazują się – niestety – często niedostateczne, to dlatego, że procesem kieruje człowiek, który służy Sprawiedliwości z takim samym oddaniem, z jakim pan Hausner

służy państwu Izrael. Sprawiedliwość wymaga, ażeby przeciwko podsądnemu wysunięto oskarżenie, by miał on zapewnioną obronę i żeby został osądzony, a także, by wszystkie pozostałe pytania, pozornie donioślejszej wagi – Jak to było możliwe? Dlaczego tak się stało? Dlaczego Żydzi? Dlaczego Niemcy? Jaką rolę odegrały inne narody? W jakim stopniu ponoszą odpowiedzialność Sprzymierzeni? Jak Żydzi mogli przyczyniać się poprzez własnych przywódców do swojej zagłady? Czemu szli na śmierć jak owce na rzeź? – pozostały w zawieszeniu. Sprawiedliwość akcentuje znaczenie Adolfa Eichmanna, syna Karla Adolfa Eichmanna, człowieka w szklanej kabinie wybudowanej dla jego bezpieczeństwa: średniego wzrostu, wątłej budowy, w średnim wieku, łysiejącego krótkowidza z nieprawidłowym uzębieniem, który w ciągu całego procesu wyciąga bez przerwy chudą szyję w stronę ławy sędziowskiej (ani raz nie spojrzał na publiczność) i rozpaczliwie, a w znacznej mierze z powodzeniem, usiłuje zachować panowanie nad sobą na przekór nerwowemu tikowi, który z pewnością zawładnął jego wargami na długo przed rozpoczęciem procesu. Przedmiotem rozprawy sądowej są jego czyny, a nie udręki Żydów, naród niemiecki czy ludzkość, nie są nim nawet antysemityzm i rasizm.

Sprawiedliwość zaś, choć to może „abstrakcja" dla ludzi myślących kategoriami Ben Guriona, jest ostatecznie dużo surowszym zwierzchnikiem niż Pan Premier wyposażony w całą swą władzę. Zasadą, jaką kieruje się ten ostatni, jest pobłażliwość, czego nie omieszkał zademonstrować pan Hausner: pozwala ona prokuratorowi na urządzanie konferencji prasowych i udzielanie wywiadów telewizyjnych podczas procesu (relację amerykańską, finansowaną przez korporację Glickmana, przerywają bez przerwy – interes pozostaje interesem – reklamy nieruchomości), a nawet na „spontaniczne" wybuchy gniewu adresowane do sprawozdawców w budynku sądu, bo oskarżyciel ma już powyżej uszu krzyżowych pytań zadawanych

Eichmannowi, który odpowiada na nie samymi kłamstwami. Pobłażliwość ta pozwala na częste rzucanie ukradkowych spojrzeń w stronę publiczności, a także na teatralne chwyty znamionujące ponadprzeciętną próżność, która w końcu odnosi tryumf w Białym Domu, kiedy to prezydent Stanów Zjednoczonych przesyła gratulacje z powodu „dobrze spełnionego zadania". Sprawiedliwość na nic podobnego pozwolić nie może. Żąda absolutnego spokoju, dopuszcza raczej smutek niż gniew i nakazuje jak najpilniej wystrzegać się wszelkich przyjemności płynących ze znalezienia się w centrum uwagi publicznej. Wizycie, jaką wkrótce po zakończeniu procesu złożył w naszym kraju sędzia Landau, nie nadano żadnego rozgłosu, wiedziały o niej jedynie te środowiska żydowskie, które ją zorganizowały.

I choć sędziowie tak bardzo konsekwentnie starali się ukryć w cieniu przed blaskiem reflektorów, to przecież zasiadali tam, na szczycie wysokiego podium, zwróceni twarzami do publiczności, niczym aktorzy na scenie. Publiczność miała reprezentować cały świat i w ciągu pierwszych tygodni procesu istotnie składała się przede wszystkim z dziennikarzy i autorów związanych z rozmaitymi pismami, którzy tłumnie zjechali do Jerozolimy z czterech stron kuli ziemskiej. Mieli obejrzeć widowisko równie sensacyjne co proces w Norymberdze, tyle że tym razem „głównym tematem była tragedia całego narodu żydowskiego". Albowiem, „jeżeli oskarżamy [Eichmanna] także o zbrodnie przeciwko nie-Żydom [...], to nie dlatego", że je popełnił, „l e c z d l a t e g o, ż e n i e w p r o w a d z a m y ż a d n y c h p o d z i a ł ó w e t n i c z n y c h". Owo doprawdy zadziwiające zdanie, wygłoszone przez oskarżyciela w jego inauguracyjnym wystąpieniu, okazało się kluczową tezą aktu oskarżenia. Akt oskarżenia oparty był bowiem na tym, co przecierpieli Żydzi, nie zaś na tym, co popełnił Eichmann. A według pana Hausnera jest to różnica pozbawiona znaczenia, gdyż „był tylko jeden

człowiek, który zajmował się prawie wyłącznie Żydami; którego zadaniem było doprowadzić do ich zagłady; którego rola w instalowaniu haniebnego systemu rządów do tego właśnie się sprowadzała. Tym człowiekiem był Adolf Eichmann". Czyż nie było logiczne, by przedstawić sądowi wszelkie fakty dotyczące męki narodu żydowskiego (które, rzecz jasna, nigdy nie podlegały dyskusji), a następnie poszukać dowodów w ten czy inny sposób wiążących Eichmanna z tym, co się stało? Proces norymberski, w którym podsądnych oskarżono o „popełnienie zbrodni przeciwko obywatelom różnych krajów" nie uwzględnił tragedii Żydów z tej prostej przyczyny, że Eichmanna w Norymberdze nie było.

Czy pan Hausner naprawdę uważał, że w procesie norymberskim poświęcono by więcej uwagi losowi Żydów, gdyby Eichmann zasiadł na ławie oskarżonych? Wątpię. Jak prawie wszyscy w Izraelu, sądził on, że tylko sąd żydowski może oddać sprawiedliwość Żydom i że wydanie wyroku na wrogów narodu żydowskiego jest sprawą Żydów. Stąd niemal powszechną wrogość wywoływała w Izraelu sama wzmianka o trybunale międzynarodowym, który miałby oskarżyć Eichmanna nie o zbrodnie „przeciwko narodowi żydowskiemu", lecz o zbrodnie przeciwko ludzkości popełnione na narodzie żydowskim. Stąd osobliwa przechwałka: „Nie wprowadzamy żadnych podziałów etnicznych", która brzmiała mniej osobliwie w Izraelu, gdzie przepisy prawa rabinackiego regulują prywatny status obywateli żydowskich, skutkiem czego żaden Żyd nie może poślubić osoby nie będącej pochodzenia żydowskiego; małżeństwa zawarte za granicą są uznawane, ale dzieci ze związków mieszanych są z punktu widzenia prawa dziećmi nieślubnymi (dzieci pozamałżeńskie, których rodzice są Żydami, są prawowite), a jeśli komuś zdarzy się mieć matkę nie-Żydówkę, nie może zawrzeć związku małżeńskiego, osoby takiej nie można także pochować. Sprawy przybrały jeszcze bardziej skandaliczny obrót po

roku 1953, kiedy to znaczną część spraw z zakresu prawa rodzinnego przekazano sądom cywilnym. Kobiety mogą odtąd dziedziczyć majątek i, ogólnie rzecz biorąc, cieszą się tym samym statusem prawnym co mężczyźni. A zatem to wcale nie szacunek dla przekonań religijnych lub potęgi fanatycznie religijnej mniejszości uniemożliwia władzom izraelskim zastąpienie prawa rabinackiego jurysdykcją cywilną w zakresie małżeństw i rozwodów. Wydaje się, że zarówno wierzący, jak i niewierzący obywatele Izraela zgodni są co do tego, że pożądany jest zakaz zawierania małżeństw mieszanych. Z tego też głównie powodu – jak to chętnie przyznają przedstawiciele władz izraelskich poza salą sądową – zgodni są oni również co do tego, że niepożądany byłby formalny zapis konstytucyjny, regulujący pod względem prawnym ową kłopotliwą sytuację. („Przeciwko małżeństwom cywilnym przemawia to, że doprowadziłyby one do rozpadu Domu Izraela, a także odizolowały tutejszych Żydów od Żydów żyjących w diasporze", jak to sformułował niedawno w „Jewish Frontier" Philip Gillon). Bez względu na przyczyny musiała zapierać dech naiwność, z jaką oskarżyciel potępił osławione ustawy norymberskie z 1935 roku, zakazujące małżeństw mieszanych i stosunków cielesnych osób pochodzenia żydowskiego z osobami pochodzenia niemieckiego. Lepiej poinformowani korespondenci zdawali sobie sprawę z ironii sytuacji, ale nie wspomnieli o tym w swych relacjach. Uważali, że nie pora pouczać Żydów na temat błędów ich własnych praw i instytucji.

Jeżeli publiczność na procesie miała stanowić reprezentację opinii światowej, a widowisko miało ukazać szeroką panoramę cierpień Żydów, to rzeczywistość nie spełniła oczekiwań ani zamierzeń. Dziennikarze wytrwali nie dłużej niż dwa tygodnie, po czym skład publiczności uległ drastycznej zmianie. Powinna się ona była składać z Izraelczyków, ludzi zbyt młodych, żeby znali tę historię, albo – jak w wypadku Żydów z Dalekiego Wschodu – takich,

którzy nigdy o niej nie słyszeli. Proces miał im pokazać, co znaczyło żyć wśród nie-Żydów, i przekonać ich, że tylko w Izraelu Żyd może żyć bezpiecznie i godnie. (Ten sam morał zawierała broszurka dla korespondentów zagranicznych poświęcona izraelskiemu systemowi prawnemu, którą przekazano prasie. Jej autorka, Doris Lankin, przytacza orzeczenie Sądu Najwyższego, mocą którego nakazano dwóm ojcom, którzy „porwali swoje dzieci i sprowadzili je do Izraela" odesłanie ich matkom mieszkającym za granicą i mającym legalne prawo do sprawowania nad nimi opieki. Stało się to – dodaje autorka, tak samo dumna z tego ścisłego przestrzegania litery prawa, jak pan Hausner ze swej gotowości do ścigania zbrodniarza nawet wówczas, gdy jego ofiarami nie byli Żydzi – „mimo faktu, że oddanie dzieci z powrotem pod opiekę matek oznacza wciągnięcie ich do nierównej walki z wrogo nastawionymi elementami diaspory"). Jednakże wśród publiczności nie było prawie w ogóle ludzi młodych i nie składała się ona z Izraelczyków jako odrębnej kategorii Żydów. Salę wypełniali „pozostali przy życiu" – ludzie w średnim wieku i starsi, imigranci z Europy, tacy jak ja, którzy znali na pamięć wszystko, co było do poznania, i którzy nie mieli wcale ochoty na wyciąganie morałów; żeby dojść do własnych wniosków, z pewnością nie potrzebowali oni tego procesu. Świadek ustępował miejsca świadkowi; rósł stos potworności, a oni siedzieli na tej sali i w milczeniu słuchali w obecności innych opowieści, których nie znieśliby na osobności, kiedy trzeba byłoby stanąć twarzą w twarz z opowiadającym. W miarę zaś jak odsłaniała się przed nimi tragedia „współczesnych pokoleń narodu żydowskiego", a retoryka pana Hausnera stawała się coraz bardziej pompatyczna, coraz bledsza i bardziej podobna do widma stawała się postać w szklanej kabinie. Na nic zdało się grożenie palcem – „A tam siedzi potwór winny temu wszystkiemu" – i besztanie: nic nie mogło przywrócić jej do życia.

To właśnie teatralny aspekt procesu załamał się pod ciężarem jeżących włosy potworności. Proces sądowy w tym przypomina sztukę teatralną, że punktem wyjścia i dojścia jest w nim sprawca, a nie ofiara. Proces pokazowy jeszcze usilniej niż zwyczajny wymaga, aby jasno i przynajmniej w ograniczonym zakresie przedstawić czyny i sposób ich popełnienia. W centrum procesu znajdować się może tylko sprawca czynu – pod tym względem podobny jest on do bohatera sztuki scenicznej – a jeśli cierpi, to musi cierpieć za to, czego się dopuścił, a nie za cierpienia, jakie sprowadził na innych. Najlepiej wiedział o tym sam przewodniczący składu sędziowskiego, na którego oczach proces zaczął wyradzać się w ociekające krwią przedstawienie, podobne do „pozbawionego steru statku miotanego falami". Jeśli jednak wysiłki, jakie podejmował, by temu zapobiec, kończyły się często porażką, to częściowo winę za owe niepowodzenia ponosiła, o dziwo, obrona, która prawie nigdy nie zakwestionowała żadnych zeznań świadków, nawet najmniej wiążących się ze sprawą i najbardziej błahych. D o k t o r Servatius, bo tak nieodmiennie zwracano się do niego, był odrobinę śmielszy, jeśli chodzi o przedstawione dokumenty, a najbardziej poruszająca z jego rzadkich interwencji miała miejsce, gdy oskarżyciel włączył do materiałów dowodowych dziennik Hansa Franka, byłego gubernatora generalnego okupowanej Polski, jednego z głównych zbrodniarzy wojennych, powieszonego w Norymberdze. „Mam tylko jedno pytanie. Czy nazwisko Adolfa Eichmanna, nazwisko oskarżonego, zostało wymienione w tych dwudziestu dziewięciu tomach [w rzeczywistości było ich trzydzieści osiem]? [...] Nazwiska Adolfa Eichmanna nie ma w żadnym z tych dwudziestu dziewięciu tomów. [...] Dziękuję, nie mam pytań".

Tak więc proces nigdy nie zamienił się w teatr, ale przedstawienie, o jakie chodziło Ben Gurionowi, doszło

do skutku, a właściwie doszła do skutku „lekcja", która według niego powinna zostać udzielona Żydom i nie-Żydom, Izraelczykom i Arabom, słowem – całemu światu. Owe lekcje, jakie miały płynąć z tego samego przedstawienia, powinny były różnić się w zależności od tego, komu ich udzielano. Ben Gurion nakreślił ich treść, nim jeszcze zaczął się proces. Uczynił to w kilku artykułach, które miały wyjaśnić, dlaczego Izrael uprowadził oskarżonego. Lekcja dla świata nieżydowskiego brzmiała: „Chcemy pokazać całemu światu, w jaki sposób naziści wymordowali miliony ludzi [...] tylko dlatego, że byli Żydami, i milion małych dzieci tylko dlatego, że były to dzieci żydowskie". „Davar", organ prasowy partii Mapai, partii Ben Guriona, sformułował to tak: „Niech opinia światowa przekona się, że odpowiedzialności za zagładę 6 milionów Żydów europejskich nie ponoszą wyłącznie Niemcy nazistowskie". Dlatego – zacytujmy ponownie samego pana Ben Guriona – „chcemy, żeby świat się dowiedział [...] i słusznie się zawstydził". Żydzi z diaspory mieli zapamiętać, że judaizm „liczący cztery tysiące lat, wraz ze swym dziedzictwem duchowym, dążeniami etycznymi i aspiracjami mesjanistycznymi" spotykał się zawsze z „wrogością świata"; że Żydzi zawsze ulegali degeneracji, nim szli na śmierć jak owce i że tylko powstanie państwa żydowskiego umożliwiło Żydom zadanie odwetowego ciosu, co też Izraelczycy uczynili podczas wojny o niepodległość, w awanturze sueskiej i niemal codziennych incydentach na niefortunnych granicach Izraela. Jeśli zaś Żydom poza Izraelem trzeba było unaocznić różnicę pomiędzy żydowskim heroizmem a pokorną uległością, to lekcja dla Żydów zamieszkujących Izrael brzmiała następująco: „pokoleniu Izraelczyków wyrosłemu od czasu holocaustu" zagraża niebezpieczeństwo utraty więzi z narodem żydowskim, a tym samym z własną historią. „Jest rzeczą niezbędną, aby nasza młodzież pamiętała, co stało się z narodem żydowskim. Chcemy, żeby znała ona najbardziej tragiczne fakty naszej histo-

rii". Wreszcie zaś, jednym z motywów postawienia Eichmanna przed sądem było „zdemaskowanie innych nazistów, choćby poprzez ukazanie powiązań, jakie mieli z niektórymi przywódcami arabskimi".

Jeśli tylko tymi motywami chciano by uzasadnić postawienie Eichmanna przed Sądem Okręgowym w Jerozolimie, to proces musiałby się zakończyć zasadniczo fiaskiem. Pod niektórymi względami płynące zeń wnioski pozbawione były głębszego znaczenia, pod innymi z pewnością były to wnioski mylące. Dzięki Hitlerowi antysemityzm został zdyskredytowany, może nie na zawsze, ale na pewno na jakiś czas, nie dlatego jednak, że Żydzi zyskali nagle na popularności, tylko dlatego – by użyć słów samego pana Ben Guriona – że większość ludzi „zdała sobie sprawę, iż w naszych czasach antysemityzm może prowadzić do komór gazowych i fabryk mydła". Równie zbyteczna była lekcja udzielona żydowskiej diasporze, której wcale nie trzeba było przekonywać o wrogim nastawieniu świata, powołując się na tragedię, która pociągnęła za sobą śmierć trzeciej części narodu żydowskiego. Diaspora była przekonana o ponadczasowym i uniwersalnym charakterze antysemityzmu. Przekonanie owo stanowiło nie tylko najsilniej oddziałujący od czasów sprawy Dreyfusa element ideologiczny ruchu syjonistycznego, lecz także było przyczyną inaczej nie dającej się wytłumaczyć gotowości Żydów niemieckich do rokowań z władzami hitlerowskimi w pierwszych latach rządów nazistów. To samo przekonanie wywołało groźną w skutkach nieumiejętność odróżnienia wrogów od przyjaciół, przy czym to nie tylko Żydzi niemieccy nie docenili swoich nieprzyjaciół, uważając poniekąd, że wszyscy nie-Żydzi są do siebie podobni. Jeżeli premierowi Ben Gurionowi – w praktyce głowie państwa żydowskiego – chodziło o pogłębienie tego rodzaju „świadomości żydowskiej", nie świadczy to o jego roztropności, gdyż w istocie zmiana tej mentalności stanowi jedno z niezbędnych założeń pań-

stwowości izraelskiej, która z definicji czyni Żydów narodem wśród innych narodów, krajem wśród innych krajów, państwem wśród innych państw, w oparciu o pluralizm nie pozostawiający już miejsca na przestarzały i sięgający niestety korzeniami w sferę religii podział na Żydów i nie-Żydów.

Kontrast pomiędzy izraelskim heroizmem i pokorną uległością, z jaką Żydzi szli na śmierć – a przybywali punktualnie do miejsc, skąd odchodziły transporty, dobrowolnie udawali się na miejsca egzekucji, sami kopali sobie groby, rozbierali się i układali ubrania w równe stosiki, a potem kładli się ramię przy ramieniu, czekając na wystrzał – mógł się wydawać idealnym tematem, toteż oskarżyciel, który kolejnym świadkom zadawał pytania w rodzaju: Czemuście nie protestowali? Czemu wsiedliście do wagonów? Było was tam 15 tysięcy a strażników było kilkuset – czemuście się nie zbuntowali i nie rzucili do ataku? – rozwodził się nad nim do najdrobniejszych szczegółów. Smutna prawda polega jednak na tym, że zagadnienie zostało źle postawione, ponieważ wszyscy nie-Żydzi zachowywali się tak samo. Szesnaście lat temu były więzień Buchenwaldu David Rousset, znajdując się pod świeżym wrażeniem wypadków, w ten oto sposób mówił o wydarzeniach, jakie rozgrywały się we wszystkich obozach koncentracyjnych: „Warunkiem całkowitego zwycięstwa SS-manów jest to, żeby torturowana ofiara pozwoliła się prowadzić na szafot bez protestów, żeby wyrzekła się siebie do tego stopnia, iż zrezygnuje z własnej tożsamości. Nie dzieje się to bez przyczyny. SS-mani, którym zależy na klęsce ofiary, nie kierują się wyłącznie bezinteresownym sadyzmem. Wiedzą, że system, któremu uda się zniszczyć ofiarę, nim wejdzie na szafot [...], nie ma sobie równych w utrzymaniu całego narodu w stanie niewolnictwa. W uległości. Nie ma nic straszniejszego niż widok istot ludzkich maszerujących kolumnami na śmierć jak automaty” (*Les jours de notre mort*, 1947). Sąd nie uzyskał

odpowiedzi na owo okrutne i głupie pytanie, ale nietrudno byłoby ją znaleźć, gdybyśmy się zastanowili przez parę minut nad losem Żydów holenderskich, którzy w roku 1941 odważyli się zaatakować oddział niemieckiej policji bezpieczeństwa w starej dzielnicy żydowskiej Amsterdamu. W odwecie aresztowano 430 Żydów i zamęczono ich na śmierć, najpierw w Buchenwaldzie, potem w obozie Mauthausen na terenie Austrii. Miesiąc po miesiącu umierali oni po tysiąc razy – wszyscy co do jednego zazdrościliby swym braciom w Oświęcimiu, a nawet w Rydze czy Mińsku. Wiele jest rzeczy znacznie gorszych niż śmierć, a SS-mani postarali się o to, by żadna z nich nie znalazła się poza obrębem myśli i wyobraźni ich ofiar. Pod tym względem, może w jeszcze bardziej znamienny sposób niż pod innymi względami, celowa próba przedstawienia na procesie tylko żydowskiego aspektu sprawy zniekształcała prawdę, nawet prawdę odnoszącą się do Żydów. Chwała powstania w getcie warszawskim i bohaterstwo nielicznych Żydów, którzy postanowili walczyć, polegały właśnie na tym, że odrzucili oni stosunkowo łatwą śmierć proponowaną im przez nazistów: przed plutonem egzekucyjnym lub w komorze gazowej. Świadkowie zaś zeznający w Jerozolimie, opowiadając o aktach oporu i buntu, jakie zajęły „skromne miejsce w historii holocaustu", raz jeszcze potwierdzili fakt, że tylko bardzo młodzi ludzie potrafili podjąć „decyzję, że nie możemy iść na rzeź jak owce".

Pod jednym względem oczekiwania, jakie pan Ben Gurion wiązał z procesem, zostały w jakiejś mierze spełnione: proces istotnie odegrał ważną rolę w zdemaskowaniu innych nazistów i zbrodniarzy, choć nie w krajach arabskich, które otwarcie udzieliły schronienia setkom takich ludzi. Powiązania wielkiego muftiego z nazistami w latach wojny nie były żadną tajemnicą; liczył on, że naziści pomogą mu osiągnąć jakiś rodzaj „ostatecznego rozwiązania" na Bliskim Wschodzie. Toteż gazety w Damaszku i Bejru-

cie, a także w Kairze i w Jordanii, nie kryły swej sympatii dla Eichmanna albo ubolewały, iż „nie doprowadził on swego dzieła do końca". Audycja radiowa nadana w Kairze w dniu rozpoczęcia procesu zawierała nawet lekki akcent antyniemiecki: komentator żalił się, że podczas całej wojny nie zdarzyło się ani jeden raz, by „samolot niemiecki przeleciał nad osiedlem żydowskim i zrzucił choćby jedną bombę". Sympatyzowanie nacjonalistów arabskich z nazistami jest rzeczą powszechnie znaną, ich motywy są oczywiste – nie potrzeba było Ben Guriona ani procesu, żeby ich „demaskować", bo nigdy się nie ukrywali. Proces wykazał tylko, że wszelkie pogłoski o powiązaniach Eichmanna z Hadż Amin al-Husajnim, byłym muftim Jerozolimy, są bezpodstawne. (Przedstawiono go muftiemu na oficjalnym bankiecie, razem z innymi osobistościami z kierownictwa departamentu). Mufti utrzymywał ścisłe kontakty z niemieckim Ministerstwem Spraw Zagranicznych i z Himmlerem, ale o tym od dawna wiedziano.

O ile wzmianka Ben Guriona o „powiązaniach nazistów z niektórymi przywódcami arabskimi" była pozbawiona sensu, musiało zaskakiwać, że w tym kontekście nie wspomniał on o dzisiejszych Niemczech Zachodnich. Naturalnie, podnosiło na duchu zapewnienie, że „Izrael nie obarcza Adenauera odpowiedzialnością za Hitlera" i że „porządny Niemiec, mimo iż należy do tego samego narodu, który dwadzieścia lat temu przyczynił się do wymordowania milionów Żydów, jest dla nas przyzwoitym człowiekiem". (O przyzwoitych Arabach nie wspomniano). Niemiecka Republika Federalna, jakkolwiek nie uznała jeszcze państwa Izrael – przypuszczalnie z obawy, że kraje arabskie mogłyby uznać Niemcy Ulbrichta – w ciągu ostatnich dziesięciu lat wypłaciła Izraelowi 737 milionów dolarów tytułem odszkodowań. Spłaty te zostaną wkrótce zakończone, a Izrael prowadzi obecnie rokowania w sprawie długoterminowej pożyczki od Niemiec Zachodnich. A zatem stosunki pomiędzy oboma krajami,

zwłaszcza zaś osobiste stosunki pomiędzy Ben Gurionem i Adenauerem, układały się dobrze i jeśli w rezultacie procesu części deputowanych do Knesetu (parlament izraelski) udało się wprowadzić pewne ograniczenia w wymianie kulturalnej z Niemcami Zachodnimi, to Ben Gurion z pewnością tego nie przewidział, ani nie liczył się z taką możliwością. Bardziej godne odnotowania jest to, że nie przewidział, a może nie raczył o tym wspomnieć, że pojmanie Eichmanna spowoduje w efekcie podjęcie przez Niemcy pierwszej poważnej próby wytoczenia procesów przynajmniej tym wszystkim, którzy byli bezpośrednio zamieszani w zbrodnię. Centralna Agencja Badań Zbrodni Nazistowskich, założona z opóźnieniem przez państwo zachodnioniemieckie w roku 1958 i kierowana przez prokuratora Erwina Schülego, napotkała mnóstwo trudności wywołanych częściowo niechęcią świadków niemieckich do współpracy, częściowo zaś niechęcią sądów lokalnych do wszczynania śledztwa na podstawie materiałów przesłanych z tejże Agencji. Nie chodzi o to, że proces w Jerozolimie dostarczył jakichś nowych a doniosłych dowodów potrzebnych do wykrycia współpracowników Eichmanna, ale wiadomość o sensacyjnym pojmaniu Eichmanna i wytoczonym mu procesie oddziałała dostatecznie silnie, by skłonić sądy do skorzystania z ustaleń pana Schülego i pokonać wrodzoną niechęć do poczynienia jakichś kroków w sprawie „morderców wśród nas" w oparciu o uświęcony tradycją zwyczaj wyznaczenia nagród za schwytanie dobrze znanych przestępców.

Rezultaty były oszałamiające. Już w siedem miesięcy po przybyciu Eichmanna do Jerozolimy – i w cztery miesiące przed rozpoczęciem procesu – udało się wreszcie zatrzymać Richarda Baera, następcę Rudolfa Hössa na stanowisku komendanta Oświęcimia. Nastąpiła seria błyskawicznych aresztowań, w wyniku której zatrzymano także większość tzw. *Eichmannkommando*: Franza Novaka, mieszkającego w Austrii, gdzie pracował jako drukarz,

doktora Ottona Hunschego, wykonującego zawód adwokata w Niemczech Zachodnich, Hermanna Krumeya, który został farmaceutą, Gustava Richtera, byłego „doradcę do spraw żydowskich” w Rumunii oraz Williego Zöpfa, pełniącego analogiczną funkcję w Amsterdamie. Mimo że obciążające ich materiały opublikowano w Niemczech dawno temu – w książkach i artykułach prasowych – ani jeden z nich nie uznał za konieczne, żeby żyć pod zmienionym nazwiskiem. Po raz pierwszy od zakończenia wojny gazety niemieckie pełne były doniesień o procesach zbrodniarzy nazistowskich, z których każdy był sprawcą masowych mordów (od maja 1960 roku, kiedy to pojmano Eichmanna, można było ścigać sądownie jedynie sprawców zbrodni najpoważniejszych, wszelkie pozostałe przestępstwa podlegały przedawnieniu, którego termin w wypadku morderstwa mijał po dwudziestu latach), natomiast niechęć, z jaką sądy lokalne ścigały ich sprawców, wyrażała się jedynie w niebywale łagodnych wyrokach wymierzonych oskarżonym. (I tak, dr Otto Bradfisch, członek *Einsatzgruppen*, lotnych jednostek likwidacyjnych SS na Wschodzie, został skazany na dziesięć lat ciężkich robót za wymordowanie 15 tysięcy Żydów, dr Otto Hunsche, doradca prawny Eichmanna, ponoszący osobistą odpowiedzialność za przeprowadzoną w ostatnich dniach wojny deportację blisko 12 tysięcy Żydów węgierskich, z których zabito co najmniej 600, otrzymał karę pięciu lat ciężkich robót, a Joseph Lechthaler, który „zlikwidował” żydowskich mieszkańców Słucka i Smolewicz, został skazany na trzy lata i sześć miesięcy więzienia). Wśród aresztowanych znaleźli się ludzie o dużym znaczeniu w czasach hitlerowskich, którzy w większości zostali przez sądy niemieckie oczyszczeni z zarzutu popierania hitleryzmu. Jednym z nich był generał SS Karl Wolff, były szef osobistego sztabu Himmlera. Zgodnie z dokumentem przedstawionym na procesie norymberskim w 1946 roku, „z wielką radością” przyjął on wiadomość, że „od dwóch

tygodni pociąg wywozi codziennie po 5 tysięcy członków Narodu Wybranego" z Warszawy do Treblinki, jednego z obozów śmierci na Wschodzie. Innym był Wilhelm Koppe, który początkowo kierował zagazowywaniem w Chełmnie, a potem został następcą Friedricha-Wilhelma Krügera w Polsce. Koppe, jeden z najbardziej wyróżniających się wyższych dowódców SS, którego zadaniem było uczynienie Polski „oczyszczoną z Żydów" (*judenrein*), był w powojennych Niemczech dyrektorem fabryki czekolady. Niekiedy zapadały wyroki surowe, ale budziły one jeszcze większy niepokój, gdy wymierzano je takim przestępcom, jak Erich von dem Bach-Zelewski, były *Obergruppenführer* SS i generał policji. Był on sądzony w roku 1961 za udział w spisku Röhma (1934) i otrzymał wyrok trzy i pół roku. Ponownie postawiony przed sądem w Norymberdze w roku 1962 za zabicie sześciu komunistów niemieckich w roku 1933, został skazany na dożywotnie więzienie. W obu wypadkach akt oskarżenia nie wspominał o tym, że Bach-Zelewski kierował walką z partyzantami na froncie wschodnim oraz brał udział w masakrach Żydów w Mińsku i Mohylewie. Po cóż sądy niemieckie miałyby wprowadzać „podziały etniczne", skoro zbrodnie wojenne nie są zbrodniami? Bo czyż byłoby możliwe, żeby – niezwykle surowy jak na sądy w powojennych Niemczech – wyrok na Bach-Zelewskiego zapadł dlatego, że jako jeden z bardzo nielicznych doznał on szoku nerwowego po masowych egzekucjach, usiłował uchronić Żydów przed oprawcami z *Einsatzgruppen* i występował w Norymberdze jako świadek oskarżenia? Jako jedyny spośród ludzi tej kategorii, przyznał się on w roku 1952 publicznie do udziału w masowym mordzie, choć nigdy go o to nie oskarżono.

Należy wątpić, że obecnie sprawy przyjmą inny obrót, choć za rządów Adenauera z sądownictwa usunięto pod presją ponad 140 sędziów i oskarżycieli, a także wielu urzędników policji o bardziej niż przeciętnie kompromitującej przeszłości oraz udzielono dymisji Wolfgangowi

Immerwahrowi Fränkelowi, głównemu oskarżycielowi przy Federalnym Sądzie Najwyższym, jako że wbrew znaczeniu środkowego członu swego nazwiska nie wykazał się zbytnią szczerością, nagabywany o swą nazistowską przeszłość. Ocenia się, że 5 tysięcy spośród 11,5 tysiąca sędziów RFN było czynnych w sądach hitlerowskich. W listopadzie 1962 roku – wkrótce po czystce w sądownictwie i w pół roku po zniknięciu nazwiska Eichmanna z czołówek gazet – w niemal pustej sali sądowej we Flensburgu odbył się od dawna oczekiwany proces Martina Fellenza. Ten były *Obergruppenführer* SS i policji, znany członek Partii Wolnych Demokratów w Niemczech Adenauera, został aresztowany w czerwcu 1960 roku, w kilka tygodni po ujęciu Eichmanna. Oskarżono go o udział i współodpowiedzialność za zamordowanie 40 tysięcy Żydów w Polsce. Po ponad sześciu tygodniach szczegółowych zeznań świadków prokurator zażądał najwyższego wymiaru kary: dożywotnich ciężkich robót. Sąd zaś skazał Fellenza na cztery lata, w poczet których zaliczono mu dwa i pół roku, jakie spędził w więzieniu, oczekując na proces. Tak czy inaczej, proces Eichmanna najbardziej brzemienne następstwa miał w samych Niemczech. Stosunek narodu niemieckiego do własnej przeszłości, nad którym to zagadnieniem od piętnastu lat łamali sobie głowy najlepsi znawcy spraw niemieckich, nie mógł doczekać się lepszej ilustracji: Niemców niewiele to wszystko obchodziło i niespecjalnie przeszkadzała im obecność chodzących na wolności zbrodniarzy, bo prawie wykluczone było, że którykolwiek z nich popełnił zbrodnię dobrowolnie. Gdyby jednak opinia światowa – właściwie zaś *das Ausland*, którym to słowem Niemcy określają zbiorowo wszystkie inne kraje – upierała się przy żądaniu ukarania wszystkich tych ludzi, z największą ochotą spełniliby to żądanie, przynajmniej do pewnego stopnia.

Kanclerz Adenauer przewidywał kłopoty i dał wyraz obawie, że proces „przywoła znowu wszystkie te okropno-

ści” i wzbudzi na całym świecie kolejną falę uczuć antyniemieckich, jak się też i stało. W ciągu dziesięciu miesięcy, których potrzebował Izrael na przygotowanie procesu, Niemcy gorączkowo zabezpieczały się przed możliwymi do przewidzenia skutkami, z bezprecedensowym zapałem tropiąc i ścigając sądownie zbrodniarzy nazistowskich przebywających na terenie kraju. W żadnym jednak momencie władze niemieckie ani żaden liczący się odłam opinii publicznej nie wystąpiły z żądaniem ekstradycji Eichmanna, choć wydawałoby się to krokiem oczywistym, jako że każde suwerenne państwo strzeże zazdrośnie prawa do osądzenia przestępców będących jego obywatelami (oficjalne stanowisko rządu Adenauera, zgodnie z którym nie można było tego uczynić, ponieważ pomiędzy Izraelem i Niemcami nie ma żadnych porozumień w sprawie ekstradycji, nie przekonuje; wynikało zeń tylko tyle, że Izraela nie da się zmusić do ekstradycji). Rozumiał to Fritz Bauer, heski prokurator generalny, który wystąpił do rządu federalnego w Bonn z wnioskiem o wszczęcie postępowania ekstradycyjnego. Ale uczucia, jakimi kierował się w tej sprawie pan Bauer, były uczuciami niemieckiego Żyda, których niemiecka opinia publiczna nie podzielała. Wniosek został przez Bonn odrzucony, na dodatek przeszedł on bez echa i nie znalazł najmniejszego poparcia. Inny argument przeciwko ekstradycji, wysunięty przez obserwatorów wysłanych przez rząd zachodnioniemiecki do Jerozolimy, polegał na tym, że Niemcy zniosły karę śmierci, a zatem nie mogłyby wymierzyć Eichmannowi kary, na jaką zasługiwał. W świetle pobłażliwości zademonstrowanej przez sądy niemieckie wobec nazistowskich sprawców masowych zbrodni, trudno nie dopatrywać się w tym sprzeciwie złej woli. Na pewno bowiem największym ryzykiem politycznym związanym z ewentualnym procesem Eichmanna na terenie Niemiec byłoby to, że sąd mógłby wydać wyrok uniewinniający z braku *mens rea*, jak w „Rheinischer Merkur” z 11 sierpnia 1961 roku zaznaczył J. J. Jansen.

Istnieje inny, delikatniejszy, politycznie zaś istotniejszy, aspekt tej sprawy. Co innego wykurzyć z kryjówek zbrodniarzy i morderców, a co innego przekonać się, że zajmują oni poczesne miejsce w życiu publicznym i mają się świetnie, czyli stwierdzić, że we władzach federalnych i państwowych – ogólnie powiedziawszy, na stanowiskach w urzędach publicznych – zasiadają ludzie, którzy zrobili karierę w czasach rządów Hitlera. Prawda, że gdyby ekipa Adenauera była zanadto uczulona na punkcie pełnienia funkcji państwowych przez ludzi z kompromitującą przeszłością nazistowską, nie byłaby może w ogóle zdolna sprawować rządów. Prawda bowiem jest naturalnie dokładnym zaprzeczeniem twierdzenia dra Adenauera, że naziści stanowili jedynie „stosunkowo mały odsetek" Niemców, podczas gdy „ogromna ich większość niosła ochoczo pomoc swym żydowskim współobywatelom, ilekroć było to możliwe". (Tylko jedna gazeta niemiecka, „Frankfurter Rundschau", postawiła – poniewczasie – oczywiste pytanie: dlaczego tylu ludzi, którzy z pewnością znali na przykład akta prokuratury generalnej, milczało jak zaklęci – i udzieliła sobie jeszcze bardziej oczywistej odpowiedzi: „Ponieważ sami czuli się winni"). Logika procesu Eichmanna, akcentującego zgodnie z koncepcją Ben Guriona sprawy ogólne z uszczerbkiem dla subtelności prawniczych, musiałaby doprowadzić do ujawnienia współudziału wszystkich niemieckich urzędów i władz w Ostatecznym Rozwiązaniu: wszystkich cywilnych pracowników ministerstw państwowych, sił zbrojnych, włącznie ze sztabem generalnym oraz sfer przemysłowo-handlowych. Ale mimo że oskarżenie pod przewodem pana Hausnera posunęło się do tego, by powołać na kolejnych świadków ludzi, których zeznania, jakkolwiek ponure i z pewnością prawdziwe, nie miały jednak żadnego albo tylko bardzo luźny – związku z czynami oskarżonego, unikało starannie poruszenia tego bardzo wybuchowego tematu, jakim był niemal powszechny współ-

udział w zbrodni, sięgający daleko poza szeregi członków partii narodowosocjalistycznej. (Jeszcze przed procesem rozeszły się pogłoski, że Eichmann wymienił kilkaset nazwisk czołowych osobistości Republiki Federalnej – swych współpracowników, były one jednak nieprawdziwe. Pan Hausner w swym inauguracyjnym wystąpieniu wspomniał o „wspólnikach Eichmanna, którzy nie byli bandytami, ani nie należeli do świata przestępczego", obiecując przy tym, że „spotkamy się z nimi – a będą to lekarze, prawnicy, uczeni, bankierzy, ekonomiści – w tych instytucjach, które podejmowały decyzję o zagładzie Żydów". Obietnicy nie dotrzymał, bo też dotrzymać jej – w tej formie, w jakiej ją złożył – nie mógł. Nigdy bowiem nie istniały żadne „instytucje podejmujące decyzje" o czymkolwiek, a „odziani w togi dygnitarze ze stopniami naukowymi" nie decydowali nigdy o eksterminacji Żydów, lecz tylko zbierali się, by opracować plan działań niezbędnych dla wcielania w życie rozkazów Hitlera). Na jeden wypadek tego rodzaju zwrócono wszakże uwagę rządu, mianowicie na sprawę dra Hansa Globkego, jednego z najbliższych doradców Adenauera, który ponad 25 lat temu był współautorem haniebnego komentarza do ustaw norymberskich, nieco zaś później autorem wspaniałego pomysłu, by wszystkim Żydom niemieckim nakazać przybranie na drugie imię Izrael bądź Sara. Ale nazwisko pana Globkego – i tylko to jedno nazwisko – włączyła do akt sprawy toczącej się przed sądem obrona, a i to przypuszczalnie w nadziei, że „nakłoni" rząd Adenauera do wszczęcia postępowania ekstradycyjnego. Pewne jest jedno: były *Ministerialrat* w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i obecny *Staatssekretär* w Urzędzie Kanclerskim Adenauera, miał niewątpliwie większe prawo niż eks-mufti Jerozolimy, by zająć miejsce w dziejach cierpień zadanych Żydom przez nazistów.

To bowiem historia – przynajmniej gdy chodzi o stronę oskarżenia – zajęła w tym procesie miejsce centralne.

„Na ławie oskarżonych zasiadł w tym historycznym procesie nie pojedynczy człowiek, ani nawet nie sam tylko reżim nazistowski, lecz antysemityzm na przestrzeni całych dziejów". Taką tonację ustalił Ben Gurion, a pan Hausner wiernie się jej trzymał, rozpoczynając swą inauguracyjną mowę (trwającą przez trzy posiedzenia) od egipskiego faraona i rozporządzenia Hamana, zgodnie z którym „Żydów należało zniszczyć, pozabijać i zetrzeć z powierzchni ziemi". Następnie zacytował proroka Ezechiela: „A idąc mimo cię, i widząc cię ku podeptaniu podaną we krwi twojej, ja [Pan] rzekłem ci: Żyj we krwi twojej [...]" (Ez 16,6), wyjaśniając, że słowa te trzeba rozumieć jako „imperatyw stojący przed narodem żydowskim od chwili jego pojawienia się na arenie dziejów". Kiepska to znajomość historii i tania retoryka, co gorsza zaś, podważało to sens postawienia Eichmanna przed sądem, gdyż mogło sugerować, że był on tylko niewinnym wykonawcą jakichś tajemnych wyroków przeznaczenia, a właściwie wypełniał misję antysemityzmu, który był może niezbędny, aby usunąć ze „splamionej krwią drogi, którą kroczy ten naród" przeszkody w wypełnianiu się jego przeznaczenia. Kiedy na jednym z późniejszych posiedzeń sądu profesor Salo W. Baron z Uniwersytetu Columbia składał zeznania dotyczące nowszej historii Żydów wschodnioeuropejskich, dr Servatius nie zdołał opierać się dłużej pokusie i zadał oczywiste pytanie: „Dlaczego te wszystkie nieszczęścia spadły na naród żydowski?", a także: „Czy świadek nie sądzi, że u podstaw narodowego losu Żydów tkwią motywy irracjonalne? Wykraczające poza ludzką zdolność pojmowania?". Czy nie mamy tu przypadkiem do czynienia z czymś w rodzaju „ducha dziejów, który kieruje ich biegiem [...] bez udziału ludzi?" Czyż pan Hausner nie pozostaje zasadniczo w zgodzie z „doktryną praw historii" – aluzja do Hegla – i czyż nie udowodnił on, że „czyny przywódców nie zawsze wiodą do celu, który pragnęli osiągnąć? [...] W tym przypadku zamierzeniem było

zniszczenie narodu żydowskiego. Celu tego nie osiągnięto, powstało natomiast nowe, wspaniale rozwijające się państwo". Ten argument obrony wykazuje z kolei niepokojącą zbieżność z najnowszym antysemickim wymysłem z kręgu mędrców Syjonu. Zaledwie kilka tygodni przedtem wiceminister spraw zagranicznych Husajn fikar Sabri z całą powagą oświadczył w egipskim Zgromadzeniu Narodowym, że Hitler nie ponosi winy za masakrę Żydów: padł on ofiarą syjonistów, którzy „zmusili go do popełnienia zbrodni, jakie w końcowym efekcie umożliwiły im osiągnięcie ich celu: utworzenie państwa Izrael". Tyle tylko, że dr Servatius – trzymając się tej samej filozofii historii, którą wyłożył prokurator – rolę, jaką zwykle rezerwowano mędrcom Syjonu, przypisał Historii.

Na przekór intencjom Ben Guriona i wszelkim wysiłkom oskarżycieli, miejsce na ławie oskarżonych zajmował ciągle pojedynczy człowiek, istota z krwi i kości; o ile zaś Ben Guriona „absolutnie nie interesowało, jaki wyrok zapadnie w sprawie Eichmanna", nie sposób zaprzeczyć, że jedynym zadaniem sądu w Jerozolimie było właśnie wydanie wyroku.

Spis treści

Dramatyczne dzieje procesu Adolfa Eichmanna, mordercy zza biurka, współodpowiedzialnego za Holokaust. Książka jest opatrzona słynnym podtytułem, w którym pojawia się jedno z najdonioślejszych sformułowań zrodzonych w stuleciu totalitaryzmów: „banalność zła".

Relacja Hannah Arendt to nie tylko znakomity literacko klasyczny reportaż sądowy, lecz także esej o mechanizmie państwa totalitarnego oraz mentalności jego twórców i sług. Autorka, jeden z najwybitniejszych, niezależnych umysłów naszego wieku, nie cofa się zarazem przed postawieniem pytań o istotę postaw Żydów europejskich w obliczu Zagłady.

Książka bezcenna dla wszystkich, którzy interesują się historią i polityką XX wieku, a także pogłębioną interpretacją centralnych problemów naszych czasów.

cena detal. 34,90 zł

ISBN 978-83-240-1446-0



www.znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY